

BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Z PANORAMY GOLGOTY JANA STYKI.



ŚWIĘTE NIEWIASTY.

Nad wierzch dawnego pałacu Tarnowskich wzniosła się piękna kopuła okragłego budynku, będąca zakończeniem dachu, który, półkulisto spływający ku murom, obramował się lekką galerią, ozdobłą dzbanami urn, ścian ośmiokątem na ziemi się oparł i czoło swoje ubrał w złoty napis:

Golgota!

Jest to gmach Panoramy, gmach, w którym mistrz pędzla odtworzył jedną chwilę z największych dramatów świata, gdy Bóg-Człowiek zawieszony został na krzyżu, gdy krzyż, przedmiot sromoty, hańby i poniżenia stał się od dnia tej krwawej ofiary zbawieniem ludzkości, siłą męczenników, otuchą cierpiących, pokrzepieniem słabych, ucieczką opuszczonych, wierzących szczęściem.

Chrystus—jako Syn Boży i Mąż epokowy, był i będzie zawsze jedną z tych postaci, na których zwracają się oczy wieszczów i malarzy, do których odtworzenia drży dłuto rzeźbiarskie, i nieraz łamie się siły artystów, gdyż przedmiot bywa najczęściej większy od ich natchnienia. Tu najpotężniejszy talent nieopromieniony wiarą silną nie nie robi. Stworzy dzieło piękne, lecz piękność ta będzie ziemskiej natury, a tu koniecznie boskości potrzeba. Wieki średnie, widząc w Chryście najwyższy ideał Prawdy, w Matce Jego najwyższy ideał miłości i z wiarą dziecięcą chylać się do stóp wcielonego Boga, wytworząc w duchu swoim szczyt Boskiego piękna—stworzyły wspaniałe religijne malarstwo, które po wszeczaszy imponować światu będzie. Z upadkiem tej wiary, z obniżeniem ideału zatrzeć się musiały i rysy niebiańskiej piękności. Piękność ciała, w którego wnętrzu nie pali się lampa ducha i to ducha boskiego, przemawia do zmysłów naszych, lecz głębiej nie ciągnie. Potrzeba wierzyć głęboko, kochać bardzo, ażeby ta lampa ożywiła marmur, ażeby światło jej przesączyło się przez barwy i ku wyżynom myśli naszą uniosło.

Malarstwo, samo przez się, nie upadło. Są dzieła doskonałe, zdumiewa nas i teraz nieczuła technika artystów i prawda odtworzona przez nich; odłogiem tylko leży malarstwo religijne. Malowani dziś—Chrystus czy święci Pańscy, nie wznoszą się nad poziom zwykłych śmiertelników.

Dziś stoimy przed wielkim dziełem religijnym Jana Styki.

Zanim jednak przystąpimy do szczegółów rozpatrywanego przez nas obrazu, pozwolimy sobie kilka ubocznych słów wtrącić o znaczeniu *Panoramy*, o której często mylnie wyobrażenia mają ci, którzy oddaleni od miast wielkich, dowiadują się z krótkich, dziennikarskich wzmianek, albo z opowiadań ust dziesiątych.

Za obrębem Warszawy, dalej i dalej, gdy wieść o Panoramach dochodziła do uszu ludzi różnych fachów i uzdolnień — mieszały się o nich pojęcia; przeciętnie nawet wykształcony człowiek nie miał o tego rodzaju obrazach należytego wyobrażenia. Nas samych pytano nieraz, czy na obraz dany przez szkła się patrzy? Dopiero wytłumaczenie, że do tego rodzaju dzieł szkieł nie potrzeba i na czem polega złudzenie perspektywiczne—otworzyło nieco oczy na właściwe znaczenie panoram, choć połączone z płótnem malarskim tło sztuczne, w przekonaniu jeszcze wielu, odejmuje dziełu artysty wartość sztuki, tworzy tylko pojęcie—sztuczki.

Naszem jednak zdaniem w ten sposób przedstawione obrazy mistrzów, potęgując wrażenie, są jednym krokiem naprzód uczynionym w malarstwie. Obrazy naprzykład, gdzie wchodzi tłum, zamęt boju, w ogóle sceny wielkie, zbiorowe—przedstawione sposobem panoramycznym, zyskują na wartości. Tłok wojsk, zamieszanie np. w „Bitwie Grunwaldskiej“ Matejki, o ile by większej nabrało potęgi, gdyby się rozsypało na stu kilkudziesięciu metrowym płótnie. W każdej zaś sztuce największą sztuką jest zbliżenie się do prawdy, ujęcie jej na gorącym uczynku, wierne przedstawienie życia rzeczywistego we wszystkich jego przejawach. Panoramy, czyniąc tym wymaganiom zadość, — posunęły sztukę o krok jeden naprzód, zdemokratyzowały ją nawet, że się tak wyrazimy.

Dla czego?

Dotąd—obraz piękny, będąc albo własnością prywatną, albo zdobiąc bogate ściany muzeów, zakazanym był prawie owocem dla prostactków, którzy przekroczyć pańskich salonów nie mogą; o muzeach zaś wiedzą tyle co o wilku żelaznym.

Panorama popularyzuje sztukę. Nie dość tego—ona perspektywicznym złudzeniem, naturalną wielkością postaci i przedmiotów pociąga umysły niewykształcone. Artystyczny drobiazg, nad którym znawca dnie całe przepędzać będzie w niemym zachwycie, mass nie poruszy. Niewykształcony tłum zechce ujrzeć wszystko w ramach, jakimi go otacza przyroda, a cóż gdy do tych ram myśl się przyłączy, gdy z nich duch wionie—ot, i w sennych piersiach rozbudzą się jakieś drgnienia nieznane dotąd, bezwiednie odczute zostanie piękno, powoli

rozbudzać się myśl będzie a zakres podobny już wielkim jest tryumfem sztuki.

Kucharka, stróż, czeladnik szewcki, kamieniarz ubijający bruki—na Wystawę towarzystwa sztuk pięknych nie pójda, lecz pociągnie ich Panorama przy ulicy Karowej, staną oniemiemi przed postacią mającego być ukrzyżowanego Chrystusa, niejeden się przeżegna, zżacnieje w sercu swoim, dzieło siłą prawdy pociągnie go ku sobie, a przecie i ten tłum wyrobników powinien mieć pewne chwile duchowego wytechnienia, coś, coby go nieco oderwało od ziemi, o jeden cal nad nią uniosło, boć i on ma duszę, biedną, senną, niewiedzącą nic może o sobie, wzdychającą jednak bezwiednie za horyzontem szerszym.

Panorama więc, czy patrzeć na nią będziemy ze stanowiska czystej sztuki, czy pewnej, duchowej potrzeby, rozwijającej poczucie piękna w massach—jest nowym i dobrym wynalazkiem, wytrzymującym sądy tych, którzy odmawiają jej racji bytu.

Do odmalowania Golgoty wziął się Jan Styka.

Malarz czuć musiał drżenie pewne, gdy przystępował do wykonania zamierzonego dzieła. Jakkolwiek nie nowością mu była tego rodzaju praca jednak, przystępując do nowego dzieła, musiał zmierzyć swe siły, rozważyć trudność zadania, duchowo wznieść się ku krainom zkad światło niebieskie na pogrążoną w grzechach ludzkość padło. Styka rozumiał to dobrze i z całem namaszczeniem, godnem wykonania sumiennego przedmiotu, wziął się do prac przygotowawczych.

Nasamprzód więc szło malarzowi o przedstawienie wierne obrazu ówczesnej Jerozolimy i jej okolic. W tym celu potrzebne były studia archeologiczne i historyczne. Lecz jakkolwiek miejsca święte zmieniły dzisiaj swój wygląd, bo i sama Golgota, na której stoi kościół Grobu Bożego, znajduje się obecnie w obrębie miasta i mury Syonu ledwie śladami gruzów się znaczą, formacja skał, koloryt miejsc, góry i wzgórza są te same jakie przed wiekami były, zresztą dla samego nastroju potrzeba było zwiedzić Ziemię Świętą.

I Jan Styka przeszedł ją własnymi stopami.

Tu malarz nie zadowolnił się odtworzeniem tylko przyrody widzianej krainy. Z historią w rękę odbudowywał Syon Dawidowy, pałace wielkorządców rzymskich, mury zburzonej przez Tytusa świątyni Salomona. W ten sposób dał wierny obraz Jerozolimy i dzisiejszych jej okolic, które nie uległy zmianom czasu. Krom tego uderzyła wyobraźnię malarza typowość postaci dzisiejszych Hebreów. Nie inne być musiały i za Chrystusowych czasów. Więc twarze i postawy na obrazie Styki nie są wytworem fantazji, zbliżającej się do prawdy, lecz prawdą samą widzianą na miejscu i odtworzoną przez artystę. Tak samo dziś, jak i wówczas rozkładają się karawany na wzgórzach i przykłękają wielbłądy; tak samo błękitnieją góry Maabskie i syledyn Martwego Morza świeci z oddala oczom podróżnika. Odtworzona natura, odtworzone miasto; ludzie gotowi—teraz zbliża się najtrudniejsza chwila dla malarza, bo wybór momentu.

Golgota!... Trzy krzyże, na dwóch zawieszeni łotry, na trzecim stojącym po środku kona przybity Chrystus!... Takby każdy mniej więcej pojął moment dramatu, wpadł w zwykły szablon podobnej kreacji i, idąc utartymi już drogami, stworzyłby może rzecz piękną lecz powtarzaną po razy tysiąc.

Samodzielność Styki, obrała trudną lecz nową drogę...

Nie! on nie rozpiera Chrystusa na krzyżu, nie każe mu konać, i kończyć już męczarnie. Chwila obrana przez artystę, ma większą w sobie głębi duchową, bo oto Bóg-Człowiek staje na miejscu kaźni przed krzyżem u stóp swoich leżącym, bez cierniowej na głowie korony, która na ziemi spoczywa; te ostrza cierniów są już niczem w porównaniu z męką przygotowawczą, z torturą ducha skazanego na poniżenie w obec tłumów szydzących i drwiących, o sercach kamiennych, umysłach stępiałych, zaślepionych na słowo wiekuistej prawdy. Obwisłe ramiona Chrystusa mówią już o mękach przebytych, a oto Go czeka ostatni i największy kielich goryczy. Na czole ślady krwi, krew spływa po szacie olśniewającej białości; nie patrzy na krzyż, do którego za chwilę przybity zostanie, lecz wzrokiem utonął w niebie, na którym już kotłują się chmury mające w chwili zgonu Zbawcy świata, świat cały okryć ciemnością. W spojrzeniu nie widać wołania: „Ojciec mój, na coś mnie opuścił!“ lecz ogromną potęgę zbliżającego się tryumfu, przyzywanie nieba ku ziemi, oraz milczącą modlitwę za oprawców swoich.

Przez masę chmur przedzierają się promienie słońca, świetlane plamy malują się gdzie nie gdzie na wzgórzach i murach oddalonego miasta, Syon usuwa się w cień, w bezruchu natura cała oczekuje chwili zgrozy, ostre tylko promienie światła padają na miejsca gdzie stoi Chrystus, którego głowa odbita na dalekiej plamie słonecznej, ma naturalną nie sztuczną aureolę.

Ogromna cisza, ciemności przychodzą powoli — a oto Klekxton odczytuje wyrok śmierci.

Z bram miejskiej warowni—Efraimską i Gennat płyną tłumy na miejsce kaźni. Dwa krzyże w kształcie T przeznaczone dla łotrów:

Dyzmy i Gezmy stojących w oddaleniu, wznoszą się w górę, kopacz przygotowawia dół, dla krzyża Chrystusowego, z głębi ziemi wydobywa piszczele ludzkie, bo jak chce legenda, w miejscu gdzie stanął krzyż Chrystusa, był grób Adama. Za odczytującym wyrok, klęczy Szymon Cyrenejczyk, ten który pomagał krzyż dźwigać, Aleksander i Rufus małoletni synowie Szymona z boleścią patrzą na obraz niewinnej ofiary. Na lewo za Chrystusem stoją członkowie Synagogi, Sanhedryn cały w przepysznych szatach, z ogromną dumą na twarzach. Stary Ananasz, zdaje się ruchem rąk mówić: „W trzy dni budował kościół, niechże dziś siebie ratuje.“ Pyszna powaga na czole Kaifasza a oto Lewita z torą, jako znak władzy i zwycięstwa jej nad Tym, który burzył gmach wiary dawnej. Dalej Szawel, prześladowca a później Apostoł Chrystusa, toczy jakąś dysputę z Gamaliellem, dalej widać lektyki arcykapłanów, kute groby w skalach, skalistą drogę do Jerycho, białe, bezokienne domy na wzgórzach i karawany. Obok lektyk stoi Nikodem z Józefem z Arymatei, z którego to willi właśnie patrzymy na obraz męki, do którego i Golgota należała.

Lecz oto najpiękniejsza część obrazu...

Omdlewa Matka Chrystusowa, zbliżająca się do Syna duchem w niebie zatopionego, podtrzymuje ją S-ty Jan Ewangelista, najukochańszy uczeń Chrystusa. Koło nich stoją: Marya Kleofasowa, Marek, Łazarz i Belamil. Od tej grupy świętej oddzieliła się Magdalena

i snadź biegła ku słodkiemu mistrzowi i padła na widok oczekującego Go męczeństwa. Włos rozwiany, jak złoto lśniący, wyraz ogromnej boleści, pochylenie i dłonie ściśnięte rozpacznie, czynią na widzu ogromne wrażenie. Jest to jedna z najpiękniejszych postaci obrazu.

Niżej, wśród zatrzymanego przez strażnika rzymskiego tłumu—ukrył się Piotr Święty. Szata odkrywa pierś smagłą, wyraz przerażenia w twarzy, z pod nóg mu kur pierzcha, symbol trzykrotnego zaprzęstwa. Jesteśmy blisko miasta, tłum się zwiększa, płynie przez bramy otwarte, zatrzymuje się na murach otaczających Jerozolimę... W pobliżu sadzawki Amygdalon unoszą się białe gołębie, na tarasie usiadł starzec, obojętny wzrok w dal posyłając, przy nim stoi młodzieniec, lecz ten inaczej patrzy: to nie stary filozof w regułach swoich nieruchomy, lecz pionier przyszłego postępu.

Na prawo miasta — Syon w cieniu, wspaniały pałac Heroda, kopulasty dom Pilata, w dali hen, widać rusztowania przy niedokończonych jeszcze świątyni Salomona, przy której dymy ofiarne nie płyną ku niebu lecz się po ziemi ściągają, jako symbol nieprzyjętej ofiary.

Oto w nikłych zarysach obraz Styki.

Olbrzymie studia, olbrzymia praca widnieją zewsząd. Autor dokonał dzieła prawdziwie pięknego, bo czuł, kochał i wierzył...

Kazimierz Gliński.

FRAGMENT

z tekstu do Golgoty J. Styki.

Stań na szczycie, u kresu żywota...
Pomiędzy niebem milczącym, a ziemią
Pełną ludzkiego gwaru i pogrózek;
W górze się mroczy dnia słoneczność złota,
Po za nią Jego boskie gwiazdy drzemią
Służące niegdyś Władcy za podnózek,
Dziś wystraszony tłum ten iskier złoty
Drży w wielkiej grozie nad szczytem Golgoty...
Przyrodę straszna ogarnęła trwoga:
Patrzcie! krzyżuje ludzkość swego—Boga!
Stworzenie—Stwórcę, dziecię — swego Ojca,
Ten proch śmiertelny—odwiecznego Pana,
Upadły grzesznik—swojego Wybawcę!
Do bolesnego wiedzie Go Ogrójca,
W tęsknotach śmierci zgina Mu kolana,
A gdy przeczuciem męki wzbiera serce,
Gdy goryczami już dusza znękana,
Wpadają groźni porwać Go oprawce,
A na ich czele czarna biegnie zdrada
Co nie zna miary w zaślepionej złości,
Wydając Boga pomiędzy bluźnierce
Fałszywem piętnem swego pocałunku
W swej nienawiści mętym obrachunku...

A On im na to: Jam jest!... odpowiada —
Lecz czemuż wy mnie szukacie w ciemności?
Wy, syny mojej światłości,
Dla których zakon przyniosłem miłości!...

Więc nad otchłanią ludzkiej niewdzięczności,
Nad gaj oliwny zbiegły się chmurzyska,
I w oburzeniu wielkiem piorun błyska
I w pochylone oczy judaszowe
I w Kaifasza złą a tępą głowę —
Bezdeny wyrzut swój ciska!
Więc przed otchłanią ludzkiej nienawiści
Skala się wzdryga, i od swej podstawy
Pęka z łoskotem do szczytu...
Na wstrząsające zimnych głazów hasło
Słońce stojące u swego zenitu
Buchnęło naraz w wielki płomień krwawy,
I dyadem swój szczerozłoty,
I płaszcz królewski wspaniałej purpury
Rzuciło do stóp tej strasznej Golgoty
I w wnętrzu szczelin owej „Trupiej Góry“ —
Zagasło...

Więc się w pomroce gwiazdy rozsypały
I rozszalała się gwałtowna burza,
Z posad się swoich żywioły rzuciły
Ogromem pierwotnej siły,
I świat się cały w ciemności zanurza,
Ażeby oczy jego nie widziały,
Co ludzkie ręce zdziałały...
Więc huczy burza, gwałt pęka, grom błyska,
I wielki rozłam czyni się w przyrodzie,
Czysta natura znika z stanowiska
W człowieczych zbrodni pochodzie!
Bo nie zdradziła nigdy—Stworzyciela,
Nigdy grzech jasných jej nie zniżył powiek,
Bez wstydu patrzy w Boga gwiazd oczami
I nic jej czoła z granitu nie płami — — —
Nie! tego Stwórcę co się w ludzkość wciela —
Śmiał zdradzić jedynie—człowiek!

Wszystkie swej męki przeszedłszy sromoty
Przez ludzkość ukrzyżowany —
Zawisł samotny na szczycie Golgoty,
Bóg niewzajemnie kochany!

Szczęсна.

ELIZA ORZESZKOWA.

(Dalszy ciąg).

Zupełnie inne tło posiada druga, niezmiernie ważna w rozpatrywanej kwestyi kobiecej powieść Orzeszkowej p. t. *Marta*, która w swoim czasie (1872) wywarła ogromne wrażenie na młode umysły kobiece. W poprzedniej widzieliśmy przerażające swoją nicością życie salonowe, w tej zaś mamy przed sobą straszny obraz ciężkich zapasów z życiem, walkę o chleb powszedni młodej kobiety, zmuszonej iść o własnych siłach, a bynajmniej nie przygotowanej i nie uzdolnionej do pracy. Bohaterka powieści, córka eks-obywatela ziemskiego i wdowa po urzędniku, zostawszy po śmierci męża bez żadnych środków do życia, chwytając się pracy, by móżdż wyżywić siebie i małą córeczkę. Zrazu zamierza pracować w zawodzie nauczycielskim, ale wkrótce przekonywa się, że brak jej w tym względzie należytego wykształcenia. Ponieważ umiała rysować, poczęła więc czynić starania o uzyskanie posady rysowniczkii, atoli pierwsza próba kopii rysunku wykazała to samo zupełnie, co i miesięczne udzielniane lekcji. Marta z bólem teraz dopiero spostrzega, że całe wykształcenie, otrzymane w domu rodzicielskim, jeno na blichtrze było oparte; gruntownej znajomości rzeczy w jakimkolwiek kierunku nie dano jej zamłodu. Wobec tego, stopniowo obniżając skalę swoich wymagań wśród nędzy i upokorzenia ima się najrozmaitszych zajęć za bardzo mizerne wynagrodzenie i wreszcie kończy życie pod kołami tramwaju, ścigana przez policję i właściciela sklepu, w którym ukradła kilka rubli, by kupić lekarstwo dla niebezpiecznie chorej córeczki.

I w tej powieści silny nacisk kładzie autorka na błędne wychowanie kobiety. Nie nauczono Marty zamłodu pracować, nie wykształcono gruntownie w żadnym fachu, nie dano w ręce żadnej broni, którą mogłaby w ciężkich warunkach życia zwalczać przeciwności.

Kobieta taka, będąc pozbawioną oparcia nawiązać sobie, nie umie dać sobie rady, bo z wnętrza swego nic nie wysnuje; po daremnych walkach, jeśli ma jeszcze sił tyle, aby czas jakiś walczyć, musi ginać wkońcu tembardziej, że instytucje społeczne zbyt mało dają kobiecie pola do pracy. Wszelkie usiłowania kobiet poszukujących pracy rozbijają się, jak o mur, o przesady społeczeństwa, otrzymane w spadku po przodkach. Wina tu więc ciężka bezwątpienia z jednej strony na społeczeństwie, ograniczającym pole działalności kobiecej, a z drugiej stokrć większa zapewne na rodzicach i opiekunach, nie pojmujących całej wagi wykształcenia młodych kobiet, które w życiu późniejszym nie umieją w razie potrzeby na kawałek chleba zapracować. O tę samą kwestyę niezdolności do pracy potracą również Orzeszkowa i w *Pamiętniku Wacławu*, gdzie Emilia, jedna z bohaterek powieści, postanowiwszy pracować w zawodzie nauczycielskim, tak samo, jak i Marta, ujrzała rychło, że brakło jej potrzebnego w tej mierze wykształcenia.

Bohaterka powieści p. t. *Ostatnia miłość* Reginy również otrzymała wykształcenie pozorne, powierzchowne, obliczone na wywołanie efektu, oparte na blichtrze. Znajomości ludzi i życia nie miała żadnej, nie dziw przeto, że w młodym wieku pierwsze żywsze uderzenie serca wzięła za miłość prawdziwą i oddała bez wahania rękę człowiekowi, który ludził pozorami tylko, a w istocie był zerem. Po krótkim czasie otwarły się jej oczy i wówczas całą straszną rzeczywistość ujrzała przed sobą. Jedynym ratunkiem dla niej był rozwód, który zdołała otrzymać, poczem, poznaawszy człowieka ze wszechmiar godnego miłości, oddaje mu swe serce i rękę. Z tego streszczenia widzimy, że główną rolę w opowiadaniu gra kwestya wchodzenia kobiety w związki małżeńskie, których znaczenia, całej

doniosłości i świętości ogół kobiet z bardzo nielicznym wyjątkiem nie rozumie wcale. Panna słyszy od lat najmłodszych, że celem jej jest wyjście za mąż, ale na czem ma oprzeć swe szczęście małżeńskie w przyszłości, nie ma żadnego pojęcia zdrowego. Nie dziw więc, że młoda kobieta, nie znając świata i ludzi, nie rozumiejąc siebie samej, często silniejsze uderzenie serca bierze za miłość istotną i wychodzi za mąż, nie zastanawiając się bynajmniej nad tem, czy ten, z kim na całe życie los swój związała, odpowie wymaganiom jej serca i umysłu, czy jest człowiekiem, godnym szacunku prawdziwego. Gdy miną pierwsze chwile szału, zwanego mylnie miłością, kobieta powoli poczyną dostrzegać te wady, których nie widziała pierwiej. Życie bez miłości możliwe jest najzupełniej z człowiekiem uczciwym i względnie przynajmniej ukształconym; ale cóż począć, gdy się okaże, że człowiek ten nie wart szacunku? Rozwód, który np. w tej powieści uwolnił kobietę od dalszych smutnych następstw nierozwagi, nie zawsze jest możliwym; pozostaje więc w razie przeciwnym długie, bez nadziei polepszenia pełne cierpień życie. W takich właśnie okolicznościach znalazła się Kamilla, żona głównego bohatera powieści p. t. *Pan Graba* (1869).

Młoda, niedoświadczona kobieta, wyszedłszy za mąż z miłości, już nazajutrz po ślubie dowiaduje się z przerażeniem, że mężem jej jest łotr ostatni, człowiek bez czei i wiary, szuler, którego dom jest pułapką na młodych paniczów ogrywanych w karty. Odtąd rozpoczyna się dla Kamilli męczeńskie życie bez nadziei na lepszą przyszłość, gdyż, zwiąawszy swe losy z takim potworem jak Graba, nie była ona w szczęśliwym położeniu Reginy z *Ostatniej miłości*; rozwód tu okazał się niemożliwym, ponieważ prawo kanoniczne powodów do rozvodu przez nią przytoczonych nie uznaje za słuszne, a mąż postanawia ścigać żonę wszędzie, gdziekolwiekby się ukryła, ztąd nawet i do separacyi przyjść nie mogło; nie pozostało więc nieszczęśliwej kobiecie nic innego, jak tylko znoszenie tortur, póki śmierć jednego z dwojga ludzi nie położy kresu męczarni.

Jedynym środkiem, zapobiegającym podobnym katastrofom, jest rozumne wychowanie kobiety, dające jej przy wejściu w świat możność odróżniania ziarna od plewy. Tedy obok kwestyi nierozwagi małżeństwa, przeciw czemu z całą siłą uderzyła tu autorka, *Pan Graba* zawiera w sobie także znowu poruszoną kwestyę wychowania i to nietylko już kobiet, ale i mężczyzn. Około głównego bohatera roi się cały tłum tak zwanej złotej młodzieży, utracyszów, próżniaków, ludzi nieraz z zacnem w gruncie zasadami, ale spaczonymi i zwicniętymi przez złe wychowanie. Takim jest Kłowski, Tosio Słabecki i wielu innych, a między nimi i sam Kalikst Graba, człowiek bogato uposażony od natury, niepospolitego rozumu i sprytu. Miał on wszystko po temu, aby zostać człowiekiem uczciwym i pożytecznym członkiem społeczeństwa, a jednak stał się lotrem. Dlaczego? Żydlichwiarz Wigder rozwiązuje to pytanie: „Stałeś się pan tem, czem jesteś, bo nie miałeś w sercu żadnej miłości, żadnej wiary.“ Jakże nasz bohater mógł żywić w sobie podobne uczucia, skoro mu ich nie wszczepiono zamłodu? Fatalne wychowanie spaczyło i zepsuło do gruntu tę dzielną i energiczną naturę tak samo, jak zepsuło i zwicnęło otaczających go przyjaciół. Ludziom tym nie dano poznać w młodości żadnych wznioślejszych idei, nie wszczepiono żadnej gorętszej miłości, żadnych zacniejszych pragnień nie rozbudzono i nie nauczono nawet myśleć prawidłowo. Dano pieniądze, które miały wszystko to im zastąpić, i puszczono w świat z wyładowaniami kieszeniami, ale ze straszną pustką w piersi i głowie. Natury mniej energiczne, mniej pożądające czynu spokojnie w takich okolicznościach przechodzą przez życie i często choć bezwiednie zgola zostają uczciwymi; natury zaś, obdarzone większą siłą, zwłaszcza nie spokojne i pożądające ciągłego ruchu, wylania swej energii nazewnątrz, szukają ujścia dla nadmiaru sił swoich w brudach i mętach życia, nie

mogąc natrafić na czyste źródło, bo im wychowanie nie wskazało drogi, prowadzącej do nich. Czasem ludzie tacy odzyskują w pewnych chwilach samowiedzę i doskonale rozumieją, czem są; wówczas, widząc zmarnowaną przeszłość za sobą, a czując zupełny brak woli, której resztki zabili bezczynnie dotąd pędzone życie, w rozpacz czy niemal, jak np. Tosio Słabecki, rzucają kłatwę na własnych rodziców i stają się strasznym wyrazem zemsty za ich lekkomyślność.

Ta kwestya wychowania, najbardziej pono paląca ze wszystkich kwestyj społecznych doby dzisiejszej, wije się przez wszystkie niemal utwory naszej powieściopisarki i wszędzie występuje jako istotne źródło tych cierpień jednostki, jako przyczyna tych karykatur społecznych, które z takim mistrzostwem maluje autorka. A karykatury te w powieściach Orzeszkowej dadzą się na dwie grupy podzielić: z jednej strony występują przed oczyma czytelnika rodzice, zwłaszcza matki, jako fatalnie nieudolne kierowniczki dzieci (pani szambelanowa z *Pana Graby*, pani prezesowa z *Wesołej teorii i smutnej praktyki*, pani Brochwiczowa z *Rodzinny Brochwiczów*, pani Orchowska z *Elim Makowce*, pani Liska, matka Morysia, w *Sylwku Cmentarniku*, matka Milorda w *Milordzie* i t. d.), a z drugiej ukazują nam autorka dzieci, jako ofiary wadliwego z gruntu wychowania, (a więc: Wacława, cały szereg postaci z Kalikstem Grabą na czele w *Panu Grabie*, Żaneta Brochwiczówna w *Rodzinie Brochwiczów*, Marta, główna bohaterka powieści pod tymże tytułem i t. d.). Są to wogóle jednostki albo znikczemniałe, złe skutkiem fatalnego wychowania, albo poczciwe wprawdzie, zacne, ale nieszczęśliwe w życiu, przechodzące przez straszną nędzę materyalną i narażone na tysiące bolesnych upokorzeń dzięki również złemu wychowaniu. Mówiąc o edukacji wogóle, autorka główną uwagę swoją zwraca na wychowanie kobiety, której przypisuje niezmiernie ważną rolę w społeczeństwie. Kobieta — matka, zdaniem Orzeszkowej, jest w społeczeństwie najwyższą kapłanką, której wpływ na dzieci stanowi o ich przyszłości. Ale, żeby kobieta mogła spełniać należycie swoje zadanie, musi być przedewszystkiem sama człowiekiem. „Dopóki kobiety nie wzniosą się myślą ponad błyskotki i próżność, póki będą stały w społeczeństwie jak lalki, dzieci, bóstwa albo kwiatki, a nie jak ludzie, póty w życiu społecznym brakować będzie pierwszej podstawy dobra“ (*Ostatnia miłość*). Prawda to niezaprzeczona: wpływ kobiety nietylko na dzieci, ale i na rodzinę jest wielki; jak bowiem rodzina jest sercem społeczeństwa, tak kobieta jest sercem rodziny. Jak z jednej strony kobieta może zbudować i utrwalić szczęście rodzinne, tak z drugiej potrafi łatwo je zniszczyć. Na tę właśnie prawdę kładzie Orzeszkowa nacisk w powieści p. t. *Na dzień sumienia*. Głównymi postaciami kobiecymi, wpływającymi na losy dwóch bohaterów utworu: Dembielińskiego i Suszyca, są tu: Ewa i Honorata; ta ostatnia, jakkolwiek pozornie w układzie powieści zajmuje stanowisko podrzędne, atoli ze względu na skutki jej wpływu, odmalowane w utworze, należy jej niewątpliwie wyznaczyć miejsce równoznaczne z miejscem Ewy. Obie te kobiety żadne bogactw dwóch ludzi szlachetnych w gruncie popchnęły na drogę występku i całą ich przyszłość zwicnęły. Różnice między niemi wypływają jeno z różnicy sfer, z których pochodziły, gdy bowiem Ewa, pochodząca ze sfery arystokratycznej, odznacza się pewną delikatnością uczuć i sporym zasobem wrażliwości, sprowadzającej w latach późniejszych częste spazmy w razie potrzeby — Honorata, kobieta prosta, odznaczająca się właśnie mocnymi nerwami, zwolna kraje serca męża i dzieci słowami zjadliwymi, zdradzającymi całą nikczemność i brutalność tej natury. Gdy Ewa jest uosobieniem nicości charakteru kobiecego, niezdolnego samodzielnie ze świadomością nie ani dobrze, ani też złego popełnić, Honorata będzie doskonałym wyrazem natury, pozbawionej wszelkich uczuć miłości, wiecznie mściwej i zdolnej do działania tylko w kierunku ujemnym. Ewa budzi bardziej litość, Honorata — wstręt najwyższy i odrazę.

Jeżeli tedy takimi są ujemne typy i charaktery niewieście w powieściach Orzeszkowej, jakimiż są, zapyta czytelnik, typy dodatnie i jakim ma być ideał kobiety wedle autorki? Odpowiedź na to pytanie może dać przedewszystkiem powieść p. t. *Marya*, również jak i poprzednie kwestyę kobiecą traktująca. Bohaterka tego utworu może być uważana jako jeden z lepszych dodatków typów niewieście, ześrodkowujących w sobie znaczną część tych przymiotów, które Orzeszkowa tak gorąco pragnęłaby widzieć w płci swojej. Marya jest najpierw ząną, kochającą córką, poświęcającą siebie dla miłości ojca, następnie uczciwą żoną i matką dzieci przybranych, a na koniec kobietą rozumną, zdolną do wielkiej miłości i do wielkich ofiar w imię własnych przekonań, umiejającą jednakże wszelkie uczucia poddawać kontroli rozumu. Drugim typem dodatkim kobiety jest Anna Siecińska z *Rodzin Brochwiczów*, która z nieprzełamaną energią i siłą woli zabiera się do pracy, aby nie tylko nie być ciężarem zaobojętej rodzinie, ale jeszcze swą pracą wspólnie z bratem zapewnić jej utrzymanie. Marya i Anna bynajmniej nie są kobietami gruntownie i wszechstronnie wykształconymi, atoli posiadają zdrowy rozsądek, pojmują dobrze swe obowiązki, rozumieją doniosłe znaczenie pracy i umiejają, gdy zajdzie istotna potrzeba, poświęcić swe własne uczucia w imię obowiązku lub w imię dobrze pojętej godności ludzkiej. Należy tu zauważyć, że ideały kobiet Orzeszkowej różnią się znacznie od tych ideałów, które stworzyło powieściopisarstwo nasze ubiegłego okresu. Jej ideał, zgodny z pojęciem i wymaganiem czasu, nie jest jakimś postacią tytaniczną, zdolną przez swą siłę miłości do prac nadzwyczajnych, nie jest także z drugiej strony jakąś istotą niepochwytą, owianą mgłą i otoczona gwiazdami, istotą, która posiada same zalety, a wad żadnych, nie jest wreszcie typem jakiejś sawantki, powstałym w połowie b. s., a słusznie wyszydzonym przez ogół. Przeciwnie: ideały kobiet, a także i mężczyzn Orzeszkowej (Stefan Rawicki z *Ostatniej miłości*) są przedewszystkiem ludźmi, których naśladować można i należy. Są to postacie naturalne, z krwi i kości, a więc i nie bez pewnych wad, ale postacie te o całe niebo nad zwykły tłum wystają przez swą gorącą miłość ogółu, przez poczucie swych obowiązków i przez swój rozsądek, wsparty nabytem wykształceniem. Orzeszkowa przedewszystkiem pyta człowieka, jaką jest jego rola wśród tej wielkiej rodziny, co się narodem zowie, co on dla niej uczynić potrafi i jakie po temu ma środki w swym duchu. Zaczność, rozum i praca—oto trzy czynniki, wedle Orzeszkowej, składające się na wytworzenie ideału człowieka, na prawdziwą wielkość. W powieści p. t. *Ostatnia miłość* autorka powiada: „Przyłóżcie ucho tam, gdzie silną pulsacją uderzają tętna dzisiejszego wieku, wieku tego, w którym żyjecie; spytajcie, czem dziś jest wielkość. A owe głosy, co się wydobywają z samej duchowej głębi społeczeństwa, owe potężne a tajemnicze dla wielu technienia, co są wyrazem pragnień i dążeń ludzkości, odpowiedzą wam wyraźnie: zacząć, rozum, praca. Tam, gdzie znajdziecie tych trzech pojęć wcielenie, znajdziecie wielkość. Gdzieindziej jej nie szukajcie, bo poza niemi są pozory tylko i błędne ogniki, niema słońca ani prawdy... Gdy człowiek, urodziwszy się *niczem*, przez pracę i czyn stanie się *wszystkiem*, czem się tylko człowiek stać może, wtedy jest wielkim.“

Takim jest pogląd autorki na ideał człowieka, pogląd, z którym musi się zgodzić każdy, myślący i uczuciwy człowiek.

Poza temi dwoma wyżej wymienionemi typami kobiet w znaczeniu dodatnim przesuwają się przed czytelnikiem w powieściach Orzeszkowej cały szereg innych jeszcze, jak pracowita Kiriłowa, panna Marta lub Justyna (*Nad Niemnem*), Seweryna Zdrojowska (*Dwa bieguny*), Irena (*Australezyk*) i t. d. Zapewne, nie są to jakieś doskonałości (ale tych w ogóle u autorki, kreślącej życie i ludzi z natury bez jakiegokolwiek przesady, niema), nie są to typy niezwykle, charaktery niepospolite, a natomiast są to jednostki zdrowe fizycznie i duchowo i pracujące z korzyścią bądź

dla swego otoczenia najbliższego, bądź dla idei ogólniejszej natury.

Z tego wszystkiego, cośmy dotychczas o Orzeszkowej, jako pionierce spraw kobiecych powiedzieli, możemy łatwo wywnioskować, że autorka nasza zajmuje w tym względzie stanowisko bardzo umiarkowane, licząc się ściśle z warunkami, wśród których społeczeństwo żyje, i uwzględniając siły, któremi ono może rozporządzać. Rozpatrując kwestyę wykształcenia kobiet, bynajmniej nie żąda dla nich nauki uniwersyteckiej, katedr profesorskich, stopni doktorów i t. d., w ogóle tego wszystkiego, do czego dążyły niedawno jeszcze emancypantki Zachodu, a co dziś już urzeczywistniły tam niemal całkowicie; nie rozstrzyga kwestyi o zdolności fizycznej i duchowej kobiety spełniania tych wszystkich obowiązków i gatunków pracy, które u nas są jeszcze wyłącznie w rękach mężczyzn, nie wygłasza wreszcie teorii bezwzględnej równouprawnienia obu płci, a natomiast, pojmując doskonale, że rozwiązanie wielu z tych kwestyi, nad któremi pracuje Zachód w sprawie kobiecej, bynajmniej nie zależy od nas i że tem samem głoszone teorie pozostaną, usiłuje skierować całą sprawę na grunt czysto praktyczny i nawołuje, by środkami takimi, jakimi społeczeństwo może rozporządzać, zabezpieczyć materialny byt kobiety przez otwarcie jej pola do pracy i dać jej wykształcenie najpierw ogólne, a następnie fachowe. Orzeszkowa chce widzieć kobietę nie uczoną, rozprawiającą o filozofii, ale dobrą i rozumną żoną, matką i obywatelką. Są to tedy, jak widzimy, wymagania bardzo skromne w porównaniu do tych postulatów, które są obecnie na ustach wszystkich przodownic emancypacji kobiecej wśród innych społeczeństw europejskich; wymagania skromne, ale pierwszorzędnego wagi, wymagania, którym należy w jaknajkrótszym czasie uczynić zadość całkowicie, by mózdz z wielu chorób społeczeństwo uleczyć. Dodajmy tu nawiasowo, że w obecnej chwili wymagania te zyskały już pono całkowite uznanie wśród naszego ogółu, a kwestya wychowania racjonalnego i samodzielnej pracy jednostek stała się jednym z najważniejszych haseł dnia dzisiejszego, więc też i takie ujemne typy kobiece, jakie w swych powieściach wystawiała Orzeszkowa, spotykamy obecnie już coraz rzadziej, a niewątpliwie w niedalekiej przyszłości znikną one zupełnie, co, jak to każdy bezstronny człowiek przyznać musi, w znacznej mierze należy zawdzięczać naszej powieściopisarce.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

IV.

Ranek był cudowny, a Janina, wstającą zwykle bardzo wcześniej, skorzystała z wolnej chwili i wyszła do ogrodu. Wszyscy jeszcze spali, służba zaledwie budzić się poczyniała.

Swobodna jak ptaszek, wesoło usposobiona swoją przechadzką i tym rankiem tak pięknym, obiegła Janina cały ogród, i wracając już niedaleko domu, przysiadła wypocząć na ławce, gdy z wielkiem zdziwieniem ujrzała zbliżającego się do niej Romana.

Już uczyniła ruch, żeby wstać, unikając tego spotkania, gdy on niespodzianie przyspieszył kroku, i uchylając kapelusza, zawołał:

— Panno Janino, racz się pani zatrzymać!

Na twarzy młodej dziewczyny odbiło się niezadowolone, którego ukryć nie umiała. Zażenowana niebywałą sytuacją, zarumieniła się przytem silnie:

— Czy pani uwierzy, mówił tymczasem Roman dalej, że szukałem pani?... szukam już nawet od kilku dni sposobności pomówienia z panią...

— Nie rozumiem pana... rzekła z przymusem, sposobność taka bywała co dzień; od pana zależało korzystać. Nie pojmuję zresztą, o czem mówić możemy.

— To się pokaże... Tymczasem bardzo proszę, racz pani nie uciekać!

Wzruszyła lekko ramionami. Raz gdy zniknęło pierwsze zakłopotanie, odzyskała zwykłą swobodę, i zaciekawiona nieco, gotowa była spełnić jego życzenie. Zresztą, ten człowiek był jej tak obojętnym! czy miała słuchać tego, co jej chciał mówić, czy nie, wszystko jej to było jedno.

— Ależ ani myślę uciekać! rzekła obojętnie. Jestem, i słucham pana... jedno mnie tylko dziwi, że pan raczył na moją osobę uwagę swą zwrócić...

Nie mogła się powstrzymać, aby nie dodać tych kilku słów złośliwych...

— Rozumiem doskonale, co pani chcesz powiedzieć... rzekł poważnie, topiąc w niej wzrok badawczy. — Ale pozwoli pani, że dziś nie będę się tłumaczył; dziś, jedno bym tylko chciał usłyszeć... Czy pani bardzo źle ma o mnie wyobrażenie?

Spuściła oczy pod uporczywem spojrzeniem oczu Romana, który, zdawało się, że chce czytać w głębi jej duszy, że coby nie powiedziała, on potrafi odróżnić prawdę od udawania; i była znowu zakłopotana, wahając się z odpowiedzią.

— Sądę, że moje zdanie zupełnie dla pana powinno być obojętne... — rzekła wymijająco. — Nie o tem przecież chciałeś pan ze mną mówić? — dodała.

— Zapewne... Radbym jednak, byś pani mogła być dla mnie nieco łaskawszą...

Uśmiechnęła się smutnie.

— Jeżeli ktoś, — wyrzekła z namysłem, — z szorstkiego i dumnego staje się nagle pokornym i proszącym... oczywiście ma coś na celu... Co za moim pośrednictwem pragnie pan pozyskać?

Stała przed nim z głową podniesioną w wyzywający sposób; ostatnie jej słowa wypowiedziane były z dziwną siłą, dziwną stanowczością i szybko, jakby dążąc do ukończenia dopiero co rozpoczętej rozmowy, która wyraźnie miłą jej nie była.

Roman patrzył na nią z uśmiechem i długo milczał.

— Jesteś pani nad wiek przezorną i domyslną!... a gdybym powiedział, że domysły pani są mylne?

— Nie uwierzę!

— Czemu?

Namyslała się chwilę, nie żeby się wahała z wypowiedzeniem swego zdania, jak raczej szukając słów, by we właściwy a nie zbyt szorstki sposób swoją myśl wyrazić.

— O ile mam przyjemność znać pana... — rzekła — sądę, że nie należysz pan do ludzi rządzących się fantazją; a więc, ani kaprys chwilowy, ani coś w tym rodzaju wpływa na pana, że *musiałeś* zmienić sposób postępowania ze mną. Dla tego zapytałam: co za moim pośrednictwem — zdaje się panu, że potrafi pan uzyskać... i czekam na wyjaśnienie.

Zachnął się, podrażniony mocno.

— A! przyznam się, że podobne przekonania pani nie potęgują wcale zaufania, z jakim się wybrałem na tę rozmowę... Tak... *rozumnej* istoty w wieku pani nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać!...

— Żegnam pana... — wyrzekła, pochylając się nieco, — o! bardzo niewiele, — i zabierała się odejść z wyrazem obrażonej dumy w ślicznych rysach.

— Panno Janino!

Stał przed nią w postawie proszącej prawie, a stał tak, że choć nie można było powiedzieć, że zagroził jej drogę, jednak widocznie miał zamiar uczynić wszystko, by jej nie dać odejść w tej chwili. Głos jego przytem zmiełł dziwnie.

— Czyżbym się miał zawieść na pani?... mówił dalej. — Sądziłem, że pani posiada dobre serduszek...

— A mój Boże! — zawołała, nie kryjąc już zniecierpliwienia — o cóż więc chodzi? racz mi pan wyjaśnić nareszcie!

Widząc, że nie odchodzi, Roman cofnął się nieco, nie chcąc uchodzić za natarczywego, ale z odpowiedzią nie spieszył; znać trudno mu było wypowiedzieć myśl swoją, bo namarszczył czoło i namyslał się chwilę.

— Chciałbym pani zadać kilka pytań... — rzekł w końcu powoli. — Czy mogę rachować, że mi pani z całą szczerością odpowie?

— Nie mam zwyczaju zobowiązywać się na ślepo... — brzmiała odpowiedź.

Podniósł spuszczoną głowę i spojrzał na nią bystro.

— Powinienem był się spodziewać takiej odpowiedzi... — rzekł — czuję teraz, że pani nie na ślepo nie robisz...

Kiwnęła ręką niecierpliwie.

— Jeżeli będziemy ciągle schodzić do osobistych kwestyi, to rozmowa nigdy końca nie będzie miała... — zauważyła.

Roman uśmiechnął się nieznacznie.

— A widzę, — skończył, — że pani by rada jak najprędzej zostać uwolnioną od mojej obecności... Dobrze więc. Chcę prosić panią o niektóre wyjaśnienia, które nie powinny razić subtelnej drażliwości pani... i dla tego, całkiem otwarcie przechodzę do pani, będąc w nader kłopotliwym położeniu...

Podniosła zadziwiony mocno wzrok na niego, nie rozumiejąc.

— W życiu człowieka zdarzają się nieraz chwile, — ciągnął dalej, nie widząc jej zadziwienia, bo głowę spuścił ku ziemi, zajęty rysowaniem na piasku dziwacznych figur laską trzymaną w dłoni — w których sam sobie wystarczyć nie jest w stanie... i wtedy szuka w około pomocy, szuka bezstronnych oczu, któreby mu właściwą drogę wskazały... Czy może mi pani powiedzieć... jakie są dla mnie uczucia Kamilli?

Zwrot był tak nagły, niespodziany, że aż się poruszyła, ale wnet się cofnęła, widocznie obrażona.

— Co? o to mnie pan pyta? — zawołała. — Ha! rozumiem! Jesteś pan za dumny, aby się narażać na otrzymanie odmowy, i chcesz się pan zapewnić... Ale niczego się pan nie dowie! nie czuję się w obowiązku wtrącać w cudze sprawy!

— Chciej mnie pani zrozumieć! — wyrzekł z dziwną miękkością w głosie. — Nie wynika to ani z potrzeby serca, ani z ciekawości...

— A więc cóż? — przerwała z rosnącą niecierpliwością. — Nie widzę jasno w myślach pana, a zagadek nie lubię! Upprzedzam pana, że jeżeli to tylko ma być przedmiotem owej żądanej przez pana rozmowy, to lepiej skończmy ją zaraz.

— Panno Janino! nie uprzedzaj się pani i nie obrażaj... racz zapomnieć na chwilę, że przed tobą stoi człowiek, do którego masz pani ponieważ słuszny żal... Udałem się do pani, bo przeczułem, że masz dobre serce, a ja...

Nie skończył i stał przed nią dziwnie pokorny. Janina zadziwiona i zakłopotana była.

— Ale kiedyż ja pana zupełnie nie rozumiem... wyrzekła spokojniej nieco. — Nie pyta pan ani z potrzeby serca, ani z ciekawości. Więc pan Kamilli nie kochasz?

— Niestety... — rzekł, — przyznaję się do tego grzechu... a grzech to naprawdę nie mały, bo Kamilla przeznaczona mi od ojca mego, który cieszy się tą myślą... Mój ojciec chory, oszczędza go muszę, i dla tego przyjechałem tutaj... biorąc chwilowo, choć bardzo niechętnie, rolę starającego się... aby nie zrażać mego ojca i przygotować go powoli do mającej nastąpić koniecznej zmiany...

— Czy pan nie widzi jak mnie to oburza! — zawołała Janina, nagle mocno zarumieniona,

głosem, który drżał. — Jak pan mógł udawać się z tem do mnie? Jak pan śmiałeś przyjeżdżać tutaj z takimi zamiarami... Och! i ja mam tu grać rolę? raczyłeś pan uczynić mnie swoją powiernicą, współniczką może... O! jak możesz mnie pan do tego stopnia poniżać... Zdaje się panu, że ponieważ jestem u ciotki pana — „na łasce“ — „powinam zaskarbiać sobie „laski“ jej krewnych...

Cała postać szlachetnego dziewczęcia o gwałtownem oburzeniu mówiła, oczy jej ogniem paliły, a usta trzęsły się nerwowo.

— Uspokój się pani! — przemówił Roman łagodnie. — Nie jestem tak złym jak się pani wydaje; jeżeli bym widział, że obecność moja zakłóca spokój Kamilli... oddałę się natychmiast. Sądzę jednak, że moja spokojna kuzynka nie jest w stanie do tego stopnia kim się zająć.

— To pan się myli, — przerwała łaskawiej nieco Janina. — Kamilla wie o projektach ojca pana, i mimowolnie przywiązać się może do tego, którego dziś prawie za narzeczonego uważa.

— W tem właśnie rachowałem na panią... widując ją często, ciągle, możesz pani zauważyć zmianę... ostrzedz mnie... Nie wiem doprawdy, czemu to panią tak oburza...

Spojrzała na niego z ukosa, badawczo.

— Oburza mnie wszystko co jest nienaturalne, — rzekła — i w czem tkwi zagadka. Zagadką zaś dla mnie jest: czemu pan tak nie chcesz przywiązania kuzynki, i to tak bardzo, że aż uciekać pragniesz od niej... że aż naraziłeś się pan na rozmowę ze mną, która, wiem wybornie... nie należy do sympatyj pana...

Gdyby teraz była spojrzała na Romana, zdziwiłaby się Janina, widząc nagłą zmianę w tych zimnych na pozór rysach; namiętny jakiś ogień zapalił jego oczy, które błyszczały jak węgle, a usta dziwnym uśmiechem się rozchyliły, w którym rzewność i rozkosz była.

— Zagadka to dziwna w istocie... — wymówił przyciszonym od wzruszenia wewnętrznego głosem, — a dla mnie większa może jeszcze niż dla pani... Jednak, o ile mogę wyjaśnić ją pani, dając jej dowód, że pomimo jej uprzedzeń, pomimo pozorów świadczących przeciwko mnie mam... nieco... sympatyj dla pani... Przyczyną czemu unikam przywiązania Kamilli jest... inna kobieta...

— Ach! — zawołała znowu oburzona. — Więc Kamilla jest tylko pokrywką dla innej miłości? Czemuż pan nie jedzie do tamtej, wybranej, zamiast narażać serce biednej swojej kuzynki na zawód, który nastąpić musi? Czy to się nazywa szlachetne, honorowe postępowanie? pozwól mi pan o tem wątpić...

Delikatnie, nieśmiało prawie ujął ją za rękę.

— Panno Janino! — rzekł bardzo łagodnie.

Ale ona wyrwała dłoń swoją, i usunęła się, robiąc przytem ruch obronny rękami.

— Panno Janino... — powtórzył tym samym tonem, — czy to jest nagroda za zaufanie jakiego dałem dowody?... odmawiasz mi pani poczucia honoru, szlachetności... a nie uwzględniasz co się może dziać w duszy człowieka, którego tak bezwzględnie potępiasz... a który inaczej postępować nie może!

Ton ten, i te słowa podziały na nią w magnetyczny sposób; uspokoiła się.

— Potępić pana nie mam prawa... — wyrzekła. — Nie chcę tylko przykładać ręki do czynu, który nie zgadza się z moimi zapatrywaniami... A zresztą, pomimo mojej podrzędnej roli w tym domu — intrygantką być nie umiem.

— Więc zapomnij pani, żem prosił o to! — zawołał z uniesieniem, jakiego jeszcze nigdy w nim nie widziała. — Ja zaś z mojej strony...

— Pojedziesz pan? — przerwała żywo.

Spuścił głowę na piersi.

— Wygląda to, — rzekł pomału zmienionym nagle głosem, — jakby moja obecność pani samej ciężarem była...

— O mnie mowy tu niema! — przerwała znowu krótko.

— Dobrze... — wyrzekł z pewnem wahaniem, — uczynię według życzenia pani... pojedę... ale daj mi pani jeszcze dni parę...

Janina wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się jakoś zagadkowo, aż ten uśmiech uderzył Romana i zapytał o jego znaczenie...

— Nic... — rzekła, ciągle uśmiechnięta, — dziwi mnie tylko, że pan *mnie* prosi o kilka dni zwłoki...

— Ja znowu nie w tym dziwnego nie widzę, — odrzekł także wesele nieco. — Pani jesteś tak srogą, a oddałem się przecie na jej łaskę i miłość...

— Bardzo to pochlebne dla mnie! — wyrzekła obojętnie bardzo, — mam jednak nadzieję, że pan niedługo zapomnieć zechce, żem na chwilę była w tę sprawę wmięszana...

— Pragnie pani tego? czemu? może mimowolnie przykrósze pani wyrządziłem?

Wahała się przez chwilę, ale prawdomównie jej natura górę wzięła.

— Sądzę, że tak... — rzekła. — A pan innego jest zdania?

— Nie wiem tylko... wczem tkwi ta przykrósza...

Zasłmiała się z przymusem.

— Ha! widocznie nie masz pan subtelności uczuć, które zapewne wyłączną są własnością kobiet...

— Nadużyłem dobroci pani... o tem wiem i proszę mi wybaczyć... Radbym jednak wiedzieć, czy także nie popsulem sobie jeszcze bardziej opinii w oczach pani... masz pani zapewne jeszcze gorsze o mnie wyobrażenie jak wprzód.

— Mam nadzieję, że nie będzie się pan długo tem kłopotać...

— Niema co mówić... — rzekł ze smutnym uśmiechem. — Zasłużyłem sobie na wielką sympatyę u pani!... Pragniesz pani bym zapomniał... a czyż to łatwo zapomnieć taką rozmowę jaką mieliśmy przed chwilą?

Głos mu się znowu łamał dziwnie, oczy promieniały i oddech czegoś szybszym się stawał; wyciągnął rękę jakby mimowolnym popędem wiedziony, ale wnet ją cofnął, i w tej samej chwili twarz mu się zmieniła.

— Idź już sobie rozsądna kobieto! usta mi pani zamykasz! — zawołał ostrym jakimś tonem i odstąpił od niej.

Nie obraziła się, choć zauważyła tę zmianę, ale zadowolona, że rozmowa już się zakończyła, skłoniła głowę z figlarnym uśmiechem.

— Nie jestem już potrzebna! — zawołała. — A teraz zapewne wróci pan do dawnego tonu...

Odbiegła, unikając odpowiedzi.

Nie myliła się. Roman czy naprawdę lekceważył sobie młodzieńską istotę, której się zwierzył, czy może żałował chwilowego swego zapomnienia, dość, że tak jak dawniej tak i teraz mało na nią zwracał uwagi, i przez wiele dni nie raczył przemówić do niej ani słówka.

Janina nie brała tego do serca. Ten człowiek bardzo był jej obojętny, a irtutowała ją właśnie jak się nią zajmował. Niezadowolona była nawet, że zmusił ją do wysłuchania rzeczy, o których wołała nie wiedzieć... co ją tam obchodziło czy on kocha Kamillę czy kogo innego? Jedno tylko bardzo jej było miłe, to to, że Roman nie ma zamiaru starać się o Kamillę... Niespokojną była nieco jak młoda panna zgodzi się z tą myślą, ale w każdym razie dla Kazimierza znowu błysnęła nadzieja... Janina, jak każda młoda, wrażliwa istota lubiła żywić się nadzieją...

Jednak, mimowoli Roman, ów *wróg* jak go często w myślach swoich nazywała, przestawszy być niebezpiecznym, zaciekawiał ją, i poczęła baczniej mu się przypatrywać, uważniej słuchać. Pierwej go nie lubiła, teraz, po owej rozmowie nabierała przekonania, że lubić go można, a nawet, że kobieta ukochana przez niego szczęśliwą by być mogła... Jego zagadkowe czasami postępowanie, nagle zmiany humoru, chłód niewytłomaczony jakim się oblekał, były to zapewne wyniki fałszywej pozycyi w jakiej się znajdował teraz, a może główna przyczyna leżała w tej tajemniczej historii, która, jak wspominał Kamilla, serce mu złamała... Kto wie jakim by był, gdyby mu wolno było być samym sobą... Zresztą, uczucie, do którego się w obec niej przyznał, podniosło go wysoko w oczach Janiny. Mężczyzna, który kochać umie, złym być nie może...

Na takich myślach minęło dni kilka Janinie. Patrzała bacznie na dwoje kuzynów i studyowała ich skrycie, z pewnem zamilowaniem, czekając, co z tego wszystkiego wyniknie, i nie mieszając się do niczego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Najzabawniejsze było to, że jeden z chłopaków, którego widocznie drażniło, żeśmy zbyt długo przypatrywali się tej lekcji, pokazał nam język, co widząc profesor, w tejże chwili dosięgnął go swoją trzcina, a tak dotkliwie, że malec począł się drzeć w niebogłosy. I darłby się tak może nie wiedzieć jak długo, gdyby nie owa trzcina, którą go „pan profesor“ ćwiczył dopóty, dopóki się nie uspokoił. Tymczasem inni chłopcy, patrząc na tę operację, zaczęli się śmiać także, ale w tejże chwili jeden i drugi poczuł uderzenie profesorskiej trzciny—i nastała cisza. Było to krótkie *intermezzo*, po którym lekcya poczęła się odbywać w dalszym ciągu. Profesor, w dużym turbanie białym, podobny do rycerza sinobrodęgo, przetarł okulary, które dziwnie śmiesznie wyglądały na tej głowie w zawoju, i zaczął czytać *da capo*, w lewej ręce trzymając grubą, strasznie brudną książkę, a w lewej sciskając trzcinę, która, jak różdżka oliwna, rozsiewała spokój pomiędzy uczniami. Co najciekawsze, to, że zarówno profesor, jak i wszyscy chłopaki, siedzieli po turecku, z podwiniętymi nogami: z tą różnicą, że profesor siedział na małym dywaniku, a chłopcy—na ziemi.

Z kolei zwiedziliśmy niewielki kościółek katolicki, w którym właśnie odbywała się msza. W kościele było prawie pusto. Dwóch małych wyrostków służyło do mszy, a przed ołtarzem klęczało kilka kobiet niemłodych, które musiały być Hiszpankami, gdyż na głowach miały czarne koronkowe chusteczki. W Tangerze, jak mię objaśnił nasz przewodnik, mieszka dość liczna kolonia hiszpańska.

Z kościoła, w którym moja Angielka ślicznie wyglądała, kiedy ukłękła i modliła się, udaliśmy się na główny rynek miejski, gdzie mi się przypominała nasza warszawska Żelazna brama: taki sam ruch, taki sam hałas, taki sam targ. Kiedyśmy przechodzili przez targ rybny, przekonałem się, że i egzotyczne ryby wydzielają równie nie miłą woń, jak nasze wiślane, i że ryby, jeżeli mają sprawić przyjemność, należy oglądać na półmisku. Za to pomarańcze i daktyle, których całe stopy widzieliśmy na tym rynku, mogły wzbudzić zachwyt prawdziwy. Pierwszy raz widziałem pomarańcze, obrywane razem z liśćmi, z całemi gałązkami. Podobnie i daktyle leżały całemi gronami.

Przypomniałszy sobie, że Tanger jest stolicą Marokańskiego państwa, a daktyle marokańskie uchodzą za najsmaczniejsze, postanowiłem skosztować tych daktyli. Kiedym się z tem zwierzył mym towarzyszkom, nie tylko pochwałyły mój zamiar, ale zachęciły swego ojca, ażeby także kupił z jedno daktylowe grono. Jakoż podeszliśmy do jednego ze straganów, przy którym na rozeslanej rogoży siedział obdarty przekupień arabski, i wybrałszy kilka pomarańczę z liściastymi gałązkami, tudzież dwa najpiękniejsze grona daktylowe, zapytaliśmy się przez usta naszego przewodnika, który w tym razie służył nam za tłumacza: co się należy za te owoce? Arab zaczął się namyslać, aż w końcu oświadczył naszemu Wirgiliuszowi, że za pomarańcze żąda po 20 centimów, a daktyłów nie sprzedaje taniej, niż po franku za grono. Usłyszawszy to, nasz przewodnik roześmiał się, a kiedy się skończył śmiać, zaczął się targować po arabsku.

Nieśmy nie rozumieli z tej dyskusji, która po krótkiej chwili zaczęła na nas robić wrażenie klótni, ale mój „ziomek“ z Konina spisywał się tak dzielnie, z takim zapamiętaniem powiadł na biednego przekupnia, że ostatecznie zapłaciliśmy za pomarańcze po 5 centimów, a dwa franki, które miały kosztować daktyle, zredukowały się do 40 centimów. Ztąd nauka, że trzeba się targować na Wschodzie. Arabi bowiem, jak mię poinformował—po polsku—nasz *cicerone*, absolutnie tracą miarę bezcelności, gdzie chodzi o obdarcie cudzoziemca. Pod tym względem mają niemałe podobieństwo z Francuzami...

Jak dotąd, to wnosząc z tego, com zdażył zobaczyć w Tangerze, nie byłem oczarowany Wschodem. Wyobrażałem sobie, że znajdę poezję, tymczasem na każdym kroku uderzała mię najprozaiczniejsza proza. Jeżeli taki jest cały Wschód, to winszuję romantykowi! Aż się wierzyć nie chce, że ci oberwani i cuchnący Arabowie, tak niepodobni do Arabów Słowackiego lub do *Farysów* Mickiewicza czy Balińskiego, mogli w swoim czasie być poetyzowani przez Byronów, Moore'ów i innych, mogli przemawiać do ich wyobraźni romantycznej. Bo przypuścić niepodobna, ażeby za czasów romantyzmu było inaczej, ażeby dopiero w ostatnich czasach się wszystko zmieniło na gorsze. Niemniej trudno przychodzi się pogodzić z myślą, że nie kto inny, tylko przodkowie tych Arabów, zbudowali Alhambrę i Alkazar, wymarzyli *Baśni 1,001 nocy*, wymyślili algebrę, tłumaczyli Arystotelesa. Przypomniały mi się *Dzieje rozwoju umysłowego Europy* Drapera, gdzie z takim entuzjazmem opisano cywilizację Maurów—kosztem cywilizacji łacińsko-chrześcijańskiej. Jednocześnie przypominały mi się ruiny Alhambry, które istotnie robią wrażenie ruin ziemskiego raj, i nie wiedziałem, co myśleć o tem wszystkim.

Wiedziałem jedno tylko, iż aż do tej chwili, o ile poznałem Tanger (który jest podobno arcytypowem miastem wschodniem), prawdziwą poezją były moje Angieleczki. To był przyzmat, przez który błoto wschodnie mogło się wydawać poetycznem, kobiety—Zulejkami, a osły—owemi słynnymi arabskimi rumakami, o których się tyle słyszy, a których tu nie widziałem ani jednego; za to widziałem niemało takich, które mi przypominały Warszawę: nasze warszawskie konie dorożkarskie. Ale przyzmat był arcypoetyczny, zwłaszcza, kiedy, podkasawszy sukienkę, skakał przez kałuże, lub wypatrywał suchych miejsc, na których by mógł swe śliczne nóżki postawić. Zauważyłem również, że mię ten uroczy przyzmat zaczynał kokietać błękitem swoich oczu... Nie miałem nic przeciwko temu, choćby dlatego tylko, że lubię podróżować z przygodami; a im te przygody są romantyczniejsze, tem lepiej: byle tym romantyzmem była kobieta. Wprawdzie moja jasnowłosa była dopiero cudownym materyałem na kobietę, cudowną poczwarką, z której wspaniała motyl miał się wyklucć dopiero, ale to nie przeszkadzało bynajmniej, żebym nie był zachwycony i tą 17-letnią poczwarką. Bywały chwile, że zajęty rozmową z nią—i z jej siostrą—rozmową, która się nam kleiła przedziwnie, zapomniałem o Tangerze, o błocie, o Arabach i Arabkach, o pomarańczach, które chłodziłyśmy się, o daktylach, które niosłem, owinięte w jakieś ogromne liście, o naszym przewodniku, a moim „ziomku“, któremu było ogromnie przyjemnie, że mógł ze mną rozmawiać po polsku, że mię mógł wypytawać o Warszawę, o Nalewki, etc., a miałem całą duszę wypełnioną temi szafirowemi oczyma, które, choć były oczyma Angielki, posiadały zaletność Francuzki. Mama była także „niczego“, a choć była matką tych panienek, to jednak wystarczało spojrzeć na nią, ażeby zgadnąć od razu, że jeszcze nie wąpiła o swoim powabie, ba, że go nawet była dosyć pewną jeszcze. Bądź co bądź, spojrzawszy na nią, domyślałem się w mgnieniu oka, że jeszcze niedawno musiała być nadzwyczajnie piękna, jedną z tych piękności, które można by nazwać najbardziej anielskimi i klasycznymi ze wszystkich rodzajów piękności. Kiedy była młodą, musiała być podobną do swej jasnowłosej córki, o której dowie-

działem się przy sposobności, że była o rok młodszą od swej starszej siostry, szatynki. Ta znów była podobna do ojca.

Tymczasem nasz towarzysz-Francuz oświadczył nam, że ma interes do tutejszego konsula belgijskiego, który jest jego dobrym znajomym, i że było by mu bardzo przyjemnie, gdybyśmy i my, nie mając nic lepszego do czynienia w tej chwili, poszli z nim razem, co nam do możności zwiedzenia najbliższych okolic miasta, ów konsul bowiem—jak nas o tem poinformował nasz *cicerone*—mieszkał pod miastem, w bardzo ładnym ogrodzie, jak zapewniał mój „ziomek“. Jakoż stanęło na tem, że pójdziemy wszyscy. I poszliśmy.

Po upływie dobrego kwadransa, minąwszy cały szereg wązkich i brudnych uliczek, znaleźliśmy się za miastem, na pustej drodze, ciągnącej się wśród zielonych pól, pomiędzy dwoma wysokimi żywopłotami z kaktusów i aloesów. Dochodziła godzina 10-ta. Słońce zaczynało dogrzewać. Przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy w Afryce. Panienki, idąc za przykładem mamy, pootwierały jasne parasolki, ojciec ich, (który, jak przystało na Anglika, nigdzie się nie ruszał bez parasola), otworzył parasol, którym osłaniał także i swego towarzysza-Francuza, a ja? Ja zacząłem żałować, że miałem tylko laskę, bo zaczynałem się przekonywać, że jednak afrykańskie słońce przygrzewa mocniej, niż nasze europejskie.

Na szczęście, posesya konsula belgijskiego, otoczona pięknym murem, z którego wyglądało mnóstwo drzew, a w tej liczbie i palm, już była niedaleko. Po chwili zatrzymaliśmy się przed ładną bramą z kutego żelaza, nad którą widniał herb belgijski, zadzwoniliśmy, wyszedł stróż czy ogrodnik, a prawie jednocześnie ukazało się dwóch mężczyzn ubranych po europejsku, ale w fezach na głowie. Jednym z nich, jak się okazało, był sam konsul, który odrazu poznał naszego towarzysza Francuza. Nastąpiło powitanie, potem prezentacya, a potem udaliśmy się wszyscy pięknym ogrodem, podobnym do uroczej oazy, pełnej kwiatów, do pobliskiej willi konsula, której płaski dach i minaret wyglądały z pośród przepysznych palm.

Dopiero tutaj uczulem nagle, że jestem na Wschodzie, w Afryce. Wystarczało mi przejść tym ogrodem, w którym królowały palmy daktylowe, w którym kwitły drzewa pomarańczowe, całe białe od kwiatu, w którym na każdym kroku, na każdym klombie, spoztrzęgałem kwiaty i rośliny, jakich nigdy nie widziałem przedtem, a w którym wszystko było dziwnie rozrośnięte i bujne. Takich róż, jak te, na które patrzyliśmy tutaj, nie widziałem dotąd. W powietrzu, silnie ogrzanem promieniami słońca, unosiła się aromatyczna woń kwiatów, zwłaszcza kwiatu pomarańczowego, woń, która poprostu była zbyt silną, zbyt odurzającą.

Byliśmy zachwyceni, a szczególnie ja byłem zachwycony, uważałem bowiem, że moja jasnowłosa *miss*, rzucona na egzotyczne tło tego ogrodu, na tło tych róż, palm, drzew pomarańczowych, aloesów etc. etc., była poprostu marzeniem, poematem, a nie 17 letnią Angielką.

Niemniej byliśmy zachwyceni pałacikiem konsula, który, korzystając z niebytności swej żony (od paru tygodni bawiącej w Brukselli), był tyle uprzejmy, że nas oprowadził po całym mieszkaniu. Było to istne cudo w maurytańskim stylu, Alkazar w miniaturze: wszystko tu było filigranowe, pstre, zdobne białemi kolumnkami, wykładane majolikowemi mozaikami i perłowcem, ozdobione najwymyślniejszemi arabeskami, a wszystko tonęło w półcieniu, w mroku, bo światło miało tu przystęp przez niewielkie okna o drobnych różnokolorowych szybkach, za któremi jeszcze—na sposób wschodni—znajdowała się gęsta kratka drewniana, niedopuszczająca promieni słonecznych, a wraz z niemi i upał. Jakoż pierwsze wrażenie, którego doznaliśmy, wchodząc do tego mieszkania, było wrażenie przyjemnego orzeźwiającego chłodu, jaki panował pod tym dachem. „Chłodne mieszkanie, mówił konsul, jest pierwszym warunkiem, żeby tu móżdż mieszkać. Nie należy zapominać,

że to jest Afryka, że miewamy tu upały, o których Europejczycy nie mają wyobrażenia. Kto jest zmuszony mieszkać tu cały rok, musi mieć przedewszystkiem mieszkanie zabezpieczone od upałów. Dlatego wszystkie domy arabskie są pobielane wapnem, gdyż od białej ściany odbija się promienie słoneczne, i co za tem idzie, mniej ją rozgrzewają. Wskutek tego we wszystkich mieszkaniach arabskich, nawet w najuboższych, podczas największych upałów panuje względny chłód. Inaczej by tu żyć nie było podobna. Tak mówił konsul, oprowadzając nas po swem mieszkaniu, które, choć urządzone na sposób wschodni, a utrzymane w stylu maurytańskim, całem umeblowaniem zdradzało jednak, że było zamieszkałe przez Europejczyka, i to cywilizowanego Europejczyka. Jedyny wyjątek stanowiły sofę rozłożyste, które były prawdziwe tureckie, i piękne dywany wschodnie; pozatem wszystko było wytworem kultury zachodniej: począwszy od wytwornych mebli, a skończywszy na zwierciadłach i obrazach na ścianach.

Obejrzawszy mieszkanie konsula, który się okazał bardzo uprzejmym dla dam (choć przez cały czas, jak nas oprowadzał po pokojach, nie zdejmował fezu), wyszliśmy do ogrodu, gdzie tymczasem odpoczywał nasz *cicerone*, obejrzelśmy piękniejsze okazy roślin egzotycznych, po czem zaczęliśmy się żegnać z uprzejmym konsulem, dziękując mu za tak gościnne przyjęcie. Kiedyśmy szli ku bramie, konsul obciął kilkanaście prześlicznych róż, z których naszym damom dostało się po trzy, a nam, mężczyznom, — po jednej. Nawet o naszym przewodniku nie zapomnieli szarmancki reprezentant Belgii: wiedząc jednak, że róża by go nie uradowała specjalnie, dał mu cygaro.

W pół godziny potem znowu przechodziliśmy niechlujnymi ulicami Tangeru, wśród natłoku arabskiego tałalaństwa, które się nam przypatrywało z niemałym zainteresowaniem. Szliśmy przyspieszonym krokiem, bo zabawiliśmy dłużej, aniżeliśmy przypuszczali, powtórnie chodząc o to, żeby o ile możności jaknajprędzej wyostać się za obręb miasta, nad morze; w mieście bowiem, z powodu zbliżającego się południa, nie tylko było gorąco i duszno, ale odór, który wydawali spoceni potomkowie Kalifów, bardzo niemiłe drażnił nasze nozdrza. Gdyby nie róża od konsula, które wachaliśmy przez całą drogę, musielibyśmy iść chyba z pozatykanem nosami. Ta wschodnia woń była poprostu okropna, bo składały się na nią nie tylko transpirujące ciała Arabów i Arabek, ale i wylizy z kałuży i ulicznego błota, parujące pod ciepłym promiennym słonecznym. Jeżeli to ma być poezją Wschodu, to winszuję!... Na szczęście, Tanger nie jest zbyt rozległym miastem, i nie trzeba długiego czasu, aby go przejść wzdłuż i szerz. Ze zaś szliśmy przyspieszonym krokiem, więc nie upłynęło pół godziny, a już znaleźliśmy się za bramą, gdzie nas zaraz owiał orzeźwiający wiatr morski. W porcie, uregulowawszy rachunek z naszym *ciceronem*, który ze mną zwłaszcza, jako z rodakiem, żegnał się bardzo czule (tem czulej, żem mu zamiast 2 dał 5 franków), wsiedliśmy do tej samej łodzi, która nas przywiozła w tę stronę, i puściliśmy się ku okrętowi.

Dochodziło w pół do 12-ej. W samo południe mieliśmy płynąć dalej, do Gibraltaru.

Morze było spokojne zupełnie, jakby drzemało. Nad wodą, która się mieniła miejscami, jak opalowe tafle, fruwały mewy. Słońce grzało coraz mocniej. Powietrze, pomimo powiewu morskiego, było duszne. Nad morzem unosiły się jakieś sennie opary, w których się gubiła linia widnokręgu.

— Po południu możemy mieć burzę, rzekł, strasząc damy, nasz towarzysz-Francuz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Pani Izabella Zbiegniewska obchodziła temi czasy 50-letni jubileusz pracy nauczycielskiej, a liczne grono osób zgromadziło się z różnych stron kraju do Włocławka, aby zasłużonej pracownicy na polu pedagogicznym, złożyć dowody sympatycznego uznania i podzięk. Urodzona w Ostrołęce w r. 1830, wcześniej osierocona, rzuciła się do samodzielnej, użytecznej pracy i już w piętnastym roku życia ukończywszy pensję p. Emilii Fileborn w Kaliszu, została tamże pomocnicą nauczycielki, t. zw. „pepinierką“, a już w r. 1850 otworzyła własną pensję żeńską w Włocławku. W dwudziestym roku życia stanęła na czele wychowawczego zakładu, to istotnie wcześniej, i nie łatwa sprawa. Kilka pokoleń przeszło przez ręce energicznej przełożonej, to też na obchodzie jubileuszowym widziano i dojrzałe już kobiety, matki dzieciom i małe dziewczynki, najmłodsze uczennice p. Zbiegniewskiej. Oprócz własnego zakładu naukowego, popierała również pani Z. powstawanie i rozwój jednej z pierwszych na prowincyi szkoły rzemiosł dla kobiet, do której już lat temu, 25, zgłosiło się zaraz około 40 kandydatek. Uczono tam głównie kwiaciarstwa, rękawicznictwa i szewstwa, a korzystały z tego fachowego wykształcenia głównie matki rodzin, pragnące przy licznej nieraz gromadce dzieci, nauczyć się rzemiosła, któreby doraźnie w domu zastosować można z ulgą w wydatkach. Szkoda, że zaledwie lat kilka szkoła ta utrzymać się mogła. Również i na polu literackim zaznaczyła p. Zbiegniewska swą działalność. „Bluszcz“ drukował swego czasu jej powieść przychylnie ocenioną przez krytykę, a „Tygodnik Ilustrowany“ pomieszczał jej artykuły treści pedagogicznej. B. uczennice jubilatki pragną, po uzyskaniu odpowiedniego pozwolenia władzy, zebrać odpowiedni fundusz na stypendyum imienia p. Zbiegniewskiej, z którego mogłaby korzystać jedna z mieszanek Włocławka w celu kształcenia się na drodze pedagogicznej. Z okazji tego jubileuszu i „Bluszcz“ pozdrawia swą dawną współpracowniczkę.

— Kursa akademickie dla kobiet we Lwowie rozpoczęła się już w bieżącym miesiącu i wywołują nader sympatyczne uznanie w szerokich kołach inteligencji miejscowej a szczerą

wdzięczność dla ich inicjatora profesora d-ra Finkla oraz całego grona uczonych uniwersyteckich, którzy tak gorliwie sprawie wyższego wykształcenia kobiet sprzyjają i czas swój zaoferowali. O kursach tych już wspominaliśmy nie dawno, dziś zaznaczyć nam przychodzi jeszcze i tę okoliczność, że słuchaczki poszczególnych kursów będą mogły zdawać t. zw. „colloquium“ czyli egzamin z odbytego kursu naukowego przed profesorami i profesor będzie mógł wydać świadectwo. Świadectwo takie nie daje wprawdzie żadnych praw, lecz stanowi jednakowoż cenny dokument z odbytych studyów pod kierunkiem prof. wszechnicy. Liczne grono młodych osób zamierza pilnie korzystać z kursów naukowych, będących już prawie niewieściem uniwersytetem.

— Panna Stella Strait pracuje w Bourbon County Kase jako registratora dokumentów i pobiera pensji 2.000 dolarów, z czego utrzymuje siebie i najbliższych.

— Słynna artystka malarka świata zwierzęcego, Róża Bonheur, która za swe dzieła otrzymywała bajeczne sumy, żyje dotąd jako sędziwa staruszka, zdala od świata, w zapomnieniu i samotności. Światu oddała swój talent, ludziom długoletnią działalność, wielka sława jest dla niej samej już tylko dalekim wspomnieniem, dziś, inne ma zajęcie: oswaja zwierzęta, a czyni to z osobnym talentem, tak, że na jej głos, płochliwe schodzą się jelenie, a nieodstępny towarzyszami artystki są dwa ulubione lwy, chodzące za nią krok w krok, jak psy wierne. Czyli to siła wzroku ludzkiego, czy spokój łagodny głosu, czy jedno i drugie razem wzięte, jako potęga ducha człowieczego, zawsze to objaw wysokiej duszy artystki, który jej pozostał po świetnej epoce działalności natchnienia. Zwierzęta, które jej ongi służyły za modele do słynnych obrazów, dziś, idą za nią i otaczają oswojoną rzeszą samotną staruszkę.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w dodatku do „Bluszcza“ powieści

pod tytułem:

SIOSTRY

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 8 powieści p. t. *Siostry*. Przełożyła Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Święte Niewiasty (rysunek). — **Golgota**, przez Kazimierza Glińskiego. — **Fragment** przez Szczęsną. — **Eliza Orzeszkowa**, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — **Na łasce**. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — **Na morzu**, przez Ferdynanda Hösięka (dalszy ciąg). — **Kronika działalności kobiecej**.

Dodatek obejmuje: *Siostry*, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 8. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.